

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłumaczenie z angielskiego Marii Starzewskiej.

TOM II.

Posłaniec odszedł. Ranne godziny wlokły się pomału. Dwunasta nadeszła, lecz posłaniec nie wracał. Mrs. Armine kazała podać lunch do pokoju, lecz ledwo się go doiknęła. Kazała podać bardzo mocnej kawy. Piła drugą filiżankę, kiedy ktoś zastukał do drzwi i posłaniec się ukazał.

— I cóż? — zapytała.

Spojrzał na nią, jakby jej głos go zdziwił.

— Ten pan nie wrócił, ma'am.

— Kiedy wróci?

— Nie wiem, ma'am.

— Czy jest w Kairze?

— Nie wiem, ma'am.

— A więc co wiesz? jaka korzyść z ciebie?

Po co tu jesteś? Wracaj natychmiast i dowiedz się, czy ten pan jest w Kairze, czy nie?

Posłaniec wyszedł z pośpiechem.

Mrs. Armine drżała. Miała ochotę rzucić się na tego człowieka, bić go za jego głupotę. Ogłęb ją palił. Godzina upłynęła i znowu usłyszała pukanie. Posłaniec wszedł mówiąc:

— Ten pan był w Kairze zeszłej nocy, ma'am.

— Chcę wiedzieć, czy jest w Kairze teraz? — zawołała gniewnie.

— Nie wiedzą tego.

— Nie wiedzą! Powinni wiedzieć!

— Nie wiedzą, ma'am.

— Mówię, że powinni wiedzieć.

— Ale nie wiedzą, ma'am.

Zerwała się. Co chciała uczynić, sama nie wiedziała, lecz spojrzawszy na posłańca, wyraz, w jego oczach przywołał ją do rozsądku. Nie mówiąc już słowa dała mu pieniądze i odwróciła się. Kiedy drzwi się zamknęły nie panowała już nad sobą, aż nagle wspomniła na swą zmienioną twarz.

Weszła do sypialni i w pół godziny później wyszła w stroju spacerowym. Postanowiła udać się sama do domu Barondi'ego. Po tylu miesiącach niewolniczego posłuszeństwa i strachu obudziło się w niej jakieś uczucie namiętnej stanowczości, nie dbającej o następstwa. Wsiadła do powozu i pojechała. Dom Barondi'ego stał blisko Nilu na wyspie Gezira. Wysoki mur otaczał ogród. Brama z lanego żelaza była zamknięta. Woźnica zatrzymał konie. Wewnątrz z domku odźwiernego wyszedł wysoki arab. Mrs. Armine szybko wysiadła z powozu i stanęła patrząc przez kraty bramy.

— Czy Mahmud Barondi jest w Kairze? — zapytała po francusku.

Arab odpowiedział coś w swoim języku.

— Czy Barondi Effendi jest w Kairze — rzekła po angielsku.

— Tak, zdaje mi się — odrzekł arab wymawiając zwolna wyrazy.

— W mieście?

— Przypuszczam.

Wyjęła portmonejkę i wsunęła mu trochę pieniędzy do ręki.

— Gdzie?

— Nie wiem.

— Kiedy wróci do domu?

— Nie wiem.

Miała ochotę krzyczeć.

— Czy wróci na noc?

— Nie wiem, czasem zostaje na noc w Kairze.

— Lecz nie wyjechał? Jest w Kairze?

— Przypuszczam.

Stali chwilę patrząc na siebie przez kraty bramy. Oczy araba były bez wyrazu, wyglądał zaspany. Mrs. Armine odwróciła się i wsiadła do powozu.

— Wracaj do hotelu.

Woźnica machnął białym. Konie ruszyły. Stawszy w hotelu postanowiła spędzić całe popołudnie na tarasie. Może Barondi przyjdzie. To nie było nieprawdopodobnem. Słyszała, że można spotkać prawie wszystkich u Shepharda w popołudniowych godzinach. Siadła przy stoliku pod balustradą. Kupiła dzienniki i udawała, że czyta, lecz ciągle patrzyła i patrzyła na ludzi, którzy wchodzili wychodzili, lub przejeżdżali ludną ulicą. Kazała sobie podać herbatę. Piła powoli. Głowa ją bolała. Oczy miała zmęczone od ciągłego wypatrywania. Lecz nie przestała

zwracać bacznej uwagi aż wieczór zaczął zapadać i gong oznajmił, że za pół godziny będzie obiad. Co mogła więcej uczynić? Machinalnie zaczęła zbierać dzienniki. Taras był prawie pusty. Miała już wyjść, kiedy dwóch mężczyzn, jeden anglik, drugi amerykańczyk weszli po schodach i siedli przy sąsiednim stoliku. Jednym z nich był Starnworth, którego nie znała i o którym nigdy nie słyszała. Kazał podać przekąskę i zaczął żywo rozmawiać ze swym towarzyszem. Mówili o Kairze. Mrs. Armine siedziała i słuchała. Starnworth zaczął opisywać tubylcze przedmioty, mówił właśnie o palarni haszyszu, w której był z Isaacsonem. Mrs. Armine usłyszała nazwę ulicy, przy której się znajdowała Bab el Meicira. Wspomniał, że jest uczęszczana przez bogatych Egipcyanów i wymienił Barondi'ego. Zaraz potem wstali i weszli do hotelu.

Tego wieczora ciemno ubrana i starannie zawałona, Mrs. Armine w towarzystwie przewodnika zwiedziła dziwne miejscowości miasta i pozostawiała długo, długo pod zadymionym dachem kawiarni, gdzie palono haszysz. Była wyczerpana, a jednak czuła się gorączkowo podniecona. Piła kawę, filiżankę za filiżanką. Przypatrywała się marzącym palaczom, marzącym tancerzom i zdawało się jej, że żyje w śnie, oderwana od ziemi i wszystkich rzeczy, które do tej pory znała.

Lecz Barondi nie przychodził. Wreszcie wróciła przez dzielnicę tancerów, gdzie jej poczucie życia we śnie jeszcze się wzmoгло.

I znowu tej nocy nie spała.

Kiedy dzień nastął uczuła się naprawdę chora. Gorączka ją trawiła. Zaraz po śniadaniu, którego się ledwie doiknęła, znowu wsiadła do powozu i pojechała do domu Barondi'ego.

Senny arab spotkał ją przy bramie. Prawie drżącym głosem zadała pytanie.

— Wyjechał — brzmiała odpowiedź.

— Wyjechał? Dokąd?

— Do Luksoru. On wsiadł tam na dahabijeh.

— Wyjechał do Luksoru? Kiedy?

— Dowiedzieliśmy się wczoraj wieczorem.

— Czy otrzymał list, który przysłałam wczoraj rano?

Arab wstrząsnął głową.

— Nie był tutaj wcale.

Mrs. Armine wysłała telegram i wzięła bilet z powrotem do Luksoru.

Przyjechała rano około dziewiątej i znowu miała noc bezsennej. Przejeżdżając koło Wintier-Palace-Hotel ujrzała człowieka chodzącego samotnie po tarasie i ku wielkiemu swemu zdziwieniu poznała w nim Meyera Isaacsona. Zobaczył ją... była tego pewna... ale natychmiast odwrócił oczy i nie uchylił kapelusza. Ukłoniła się mu czy nie? Nie wiedziała. Lecz w każdym razie zachowanie się jego było dziwne. Nie mogła zrozumieć dlaczego jest w hotelu. Czy coś się stało w willi? Zanim zdążyła nad tem się zastanowić, konie zatrzymały się przed bramą.

Spodziewała się, że Ibrahim wyjdzie na jej spotkanie na stację. Lecz nie przybył. Nie on, ale ogrodnik otworzył bramę. Skinęła mu głową, spieszenie przeszła przez ogród i weszła do domu.

— Nigel — zawołała — Nigel!

Usłyszała wolny chód i zobaczyła swego męża idącego naprzeciw niej do salonu. Uderzyło ją, że wyglądał bardzo źle.

— A więc Ruby, powróciłaś — rzekł.

Wyciągnął rękę. Wpadnięte jego oczy patrzyły na nią z dziwnym wyrazem, jakby udręczenia.

— Tak — rzekła. — Spieszyłam się. Nie mogłam wytrzymać w Kairze. Upała nie do zniesienia.

Było mi tam źle.

Stali w hall'u.

— Wyglądasz okropnie zmęczona — rzekł — okropnie.

Trzymał ją ciągle za rękę.

Wargi jej drżały.

— Doprawdy? To skutkiem dwóch nocy w podróży. Nie spałam wcale.

— A pokojowa? Umówiłaś jaką?

— Nie, ale to nic nie znaczy?

— Muszę usiąść — dodała — ledwo się trzymam na nogach.

Rzeczywiście miała wrażenie, że siły fizyczne ją opuszczają. Nogi się uginały.

— Chodź do salonu. Trzeba żebyś zjadła śniadanie.

Puścił jej rękę. Weszli do salonu i rzuciła się na kanapę. Szedł za nią.

— Oh! — zawołała.

Oparła się o poduszkę i zamknęła oczy. Myślała ustawnie: — Barondi jest tutaj! Barondi

jest tutaj! A ja nie mogę iść do niego. Nie mogę iść... Nie mogę iść...

Zdawało jej się, że widzi jego wspaniałą szyję, jego czarne brwi nad wielkimi, śmiało oczami, jego duże, muskularne ręce, jego szeroką pierś atlety.

Słyszała, jak Nigel usiadł przy niej.

— Dlaczego Ibrahim nie wyszedł na stację? — rzekła otwierając z wysiłkiem oczy.

— Przypuszczam, że był zajęty — odparł Nigel nieswoim głosem.

— Zajęty?

— Tak. Przyniesie śniadanie.

A więc był w domu. Doznała wrażenia lekkiej ulgi, sama nie wiedziała dlaczego.

Drzwi się otworzyły i wszedł Ibrahim niosąc ostrożnie tacę.

— Dzień dobry pani, my lady — rzekł.

— Dzień dobry, Ibrahim.

Postawił tacę, stał chwilę, jakby jej się przypatrując i wyszedł.

— Będzie ci lepiej, jak zjesz śniadanie.

— Powinnabym pierwszej się wykąpać. Ale nie mogłabym czekać tak długo.

Usiadła przy stoliku i nalała mocnej herbaty. Czyniąc to, rzuciła spojrzenie na swego męża i znowu zauważyła jak źle wygląda. Lecz nie wspomniła o tem.

— Ah! — rzekła — przejeżdżając koło Wintier-Palace zobaczyłam doktora Isaacsona na tarasie.

— Zobaczyłaś go?

— Tak. Po co tam poszedł o tej porze.

— Przypuszczam, że tam mieszka.

— Mieszkał doktor Isaacson! zawołała patrząc na Nigla.

— Tak przypuszczam.

— Ale — czy to znaczy, że nas opuścił?

— Tak. Wczoraj wieczorem.

— Dlaczego? Dlaczego?

— Dlaczego?... no tak, mieliśmy dysputę. Skończyła się nieprzyjemnie i opuścił nasz dom.

— Poróżniliście się?

— Tak, zdaje mi się, że to się tak nazywa.

Pomimo wyczerpania, fizycznego zmęczenia i moralnej rozsterki, Mrs. Armine doznała gwałtownego uczucia... radości.

Napiła się znowu herbaty i zaczęła jeść. Po raz pierwszy od kilku dni miała apetyt. Obawa jej znikła. Przypomniała sobie, jak Nigel ścisnął jej rękę w hall'u.

— Ale... dlaczegoście się poróżnili — rzekła wreszcie.

— Oh, mieliśmy dysputę... — zatrzymał się.

— Wiem, wiem! — zawołała. — Uczyniłeś o co cię prosiłam. Powiedziałeś, że się czujesz dość silnym, ażeby doktor Isaacson wrócił do Londynu.

— Tak, powiedziałem to.

— I pytałeś się wiele mu jesteśmy winni?

— Tak.

— I on się rozgniewał?

— Mówiłem o tem, i... Ruby, wiele jesteśmy mu winni?... Muszę posłać mu czek... Muszę..., jeszcze dzisiaj.

Wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. Zaspiewa dużo teraz, kiedyście się poróżnili.

— Myślę... jestem pewny, że go teraz krzywdzisz — rzekł zwolna Nigel.

— Tak myślisz? Ale muszę iść na górę i wziąć kąpiel. Zabawię dobrą chwilę.

— Pozwól mi pójść i siąść przy tobie, dobrze? To jest za jakiś czas.

— Nie teraz. Lepiej weź się do obliczania wiele jesteś winien doktorowi Isaacsonowi.

Spieszyła się z wyjściem. Jak tylko znalazła się w swoim pokoju zamknęła drzwi na klucz, wyszła na balkon i spojrzała po przez rękę na Lonlię. Zobaczyła powiewającą egipską chorągiew. Czy Barondi znajdował się na łodzi? Musiała się o tem przekonać i to jak najprędzej. Zadzwoń i otworzyła drzwi.

— Ibrahim! — rzekła do wchodzącego Nubijczyka.

Cofnął się i po chwili ukazał się Ibrahim.

— Ibrahim! — rzekła prawie szeptem — czy Barondi jest na Lonlii?

— Tak, my lady.

Z trudnością wstrzymała okrzyk.

— Jest? Ibrahim... — w swem podnieceniu wzięła go za ramię i mocno trzymała... — dzisiaj wieczorem, jak tylko obiad się skończy, miej przygotowaną felukę przy ogrodzie. Rozumiesz?

(Ciąg dalszy nastąpi).